

Cie choroba, inspektory

6 kwietnia 2023

Cie choroba. Wpada do mnie z rana Maciaszczyk i będąc pod natchnieniem wstępnym, zadaje pytanie:

- Sołtysie, co robić? Jakaś WIEŚ napisała do mnie i odgraża się, że musi mnie skontrolować.
- A pokażże ten papier Maciaszczyk – mówię do niego.
- To nie WIEŚ do ciebie pisze – na początku myślałem, że to z redakcji „Nowa Wieś”, ale oni przecież zamknęli swoje podwoje już dawno, ale to WIOŚ, taka zgraja inspektorów, którzy ci sprawdzają, czy kupa gnoju przed domem ma odpowiednie parametry unijne – powiadam.

W zeszłym roku byli u mojej Zośki, to wiem. Ona bierze te dopłaty z Agencji, więc i do niej się dobrali, ale mieli inspektory problemy, bo moja Zośka nie w ciemną bita. Też dostała pismo, w którym kazali jej się skontaktować z ich inspektorem, to zadzwoniła, ale pomyliła numery i przez godzinę rozmawiała z jakimś miłym panem, który namawiał ją do zakupu garnków. O tym, ile zapłaciła za rozmowę, nie wspomnę, bo mnie do dziś krew zalewa.

Zośka po tym zajściu straciła chęć kontaktu z kimkolwiek i nie dotykała telefonu przez cały miesiąc. No to inspektory przyjechali sami, z samiuśkiego ranka o 6:00, bo oni tak muszą, podobnie jak CBA czy ABW. Jak mówił Zenek Baryła z województwa, podobno gdy inspektory pojawiali się po godzinie 8:00, tracili moce kontrolne z powodu spożywanej wcześniej marketowej kawy rozpuszczalnej, no i przez te gołe baby, co oglądają w tych internetach, a to wiadomo, że ma kiepski wpływ na efekty kontroli.

Zośka, gdy zapukali inspektory, w tym czasie doiła naszą Mućkę i z nerwów rozlała mleko w oborze. Chwyciła więc widły i już

miała im spokojnie wyjaśnić co nieco, ale jeden inspektor ze stolicy, czyli z Rzeszowa, młody i co jest dziś niespotykane, w marynarce, świeżo wygolony, z pachnącą wodą i z wyglancowanymi butami, zrobił na niej pioruńskie wrażenie. Wiadomo, baby na widok wysztafirowanego chłopca głupieją. No i zaprosiła sobie tego inspektora do domu. Chciała mu zrobić coś do picia, ale on wyjął z torby termos i powiada:

– Proszę się nie kłopotać, mam wszystko, co mi potrzeba do przeprowadzenia kontroli.

No i zaczął wypytywać Zośkę, skąd bierze wodę, gdzie się wypróżnia i czy ma na to faktury. To ją nieco wnerwiło, bo to były pytania, na które nawet ja nie znam odpowiedzi. Potem inspektor zażyczył sobie, by mu pokazała gospodarstwo, no i gdzie ma te uprawy, na których rośnie kukurydza i są łany zboża. Z początku Zośka, jak to baba, chciała się pochwalić swoim gospodarstwem, ale jak ten inspektor wyjął aparat fotograficzny z Gieesem i powiada:

– Niech rolniczka stanie tu na tym pagórku, bo muszę udokumentować, czy się czasem pani grunt nie stacza powyżej 10% – to ją to zirytowało moralnie.

Inspektor chciał ją jeszcze sfotografować na tle potoczku za miedzą, ale tego było jej za dużo i kierując swoje wysublimowane słowa do inspektora, zapytała:

– Ja się staczam? I co ja jakaś Rozenek jestem, by się fotografować?

I w porywie ekstazy twórczej chwyciła za pozostawione nieopatrznie na miedzy brony i dawaj gonić inspektora, który w tym pędzie pogubił dokumenty, o butach z twardym noskiem nie wspomnę.

Maciaszczyk, gdy usłyszał moją opowieść, stwierdził, że na czas kontroli zamknie swoją babę w chałupie, przynajmniej w tym czasie narobi pierogów na jakiś czas. Oczywiście tych

właściwych, bo ruskie się przejedli, no i wstydu się nie naje. Mówię wtedy do Maciaszczyka:

– Z babą nie wygrasz. Moja Zośka dowiedziała się dwa lata temu, że dają dopłaty rolnicze za jakiegoś derkacza na łące. Miał to stwierdzić rządowy ornitolog, ale baba jak to baba, posłuchała Malinowskiej z koła gospodyń wiejskich, która udzieliła jej rady, by musowo zatrudniła starego Wałanka, by ten stan ugruntował cieleśnie.

Słyszał on z tego, że wydobywa z gardła różne głosy, w tym zwierzęce. Niejeden raz, gdy był pod natchnieniem, przez niego strażacy wkraczali do akcji, choć nie było pożaru. Wałanek, będąc w stanie przygotowawczym, powiada mojej Zośce:

– Owszem, mogę za derkacza robić, ale muszę mieć odpowiednie natchnienie, a to oznacza 2 litry wódki i kilogram kiełbasy od Szarka na zakąskę.

Moja Zośka nigdy nie oszczędza na artystach, więc zapewniła Wałankowi, jak to ujął „natchnienie”.

Agencja w swoim czasie przysłała własnego ornitologa, który od razu uznał, że musi tego derkacza zlokalizować. Przyjechał chłopina odziany w maskujące tkaniny terenowym samochodem, z aparatami na plecach, a z daleka wyglądało, jakby przyjechał na wojnę. Rozstawił namiot na krańcu łąk pod Moczarem i tak siedział kilka dni. Wcześniej, Wałanek w natchnieniu położył się za małą brzoźką w trawie i dawaj udawać derkacza co jakiś czas. Odgłosy musiały być bardzo intrygujące, bo ornitolog wychodził co rusz z tego namiotu, wchodził, wyciągał te lornetki i aparaty, ale w końcu spakował się i wyjechał, pozostawiając Zośce jakiś papier. Moja baba chwyciła ten dokument i dawaj czytać, a tam ornitolog pisze, że on jest od ptaków, a nie sprzętu biurowego i może jedynie potwierdzić, że wśród traw działa dziurkacz do papieru.

Nie będę próbował nawet opisywać reakcji Zośki, ale w te pędy pogoniła na łąkę, na której natknęła się na Wałanka, którego

musiało zbyt szybko opuścić natchnienie i zamiast udawać derkacza, wydobywał z gardła odgłos dziurkacza. Wałanek, choć już nieco zmieniony i zmęczony czasowo, przebiegł kilkuhektarową łąkę Zośki w tempie sprintera. Ale to nie koniec.

Po kilku dniach zjawił się u nas łachudra i jeszcze domagał się pokrycia kosztów leczenia, bo z tego leżenia pod brzoźką przez kilka dni na łące, zmógł go reumatyzm.

Kiedy to mówiłem, Maciaszczyk zrobił się blady jak ściana i powiada:

– Nigdy w życiu nie wpuszczę za próg inspektorów WIOŚ.

Autorstwo: Sołtys Maciołek

Źródło: WolneMedia.net